TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS,

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50

DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 9. *Chicago, Ills., 27 Sierpnia, 1885 r.* Rok II.

JASKINIA POTEPIEŃCA

POWIEŚĆ

— PRZEZ —

FR. XAW. TUCZYNSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

— Poproś panią Stolnikową i pannę Celinę do salonu! — rzekł Stolnik do lokaja, a zwróciwszy się, ujął Cześnikiewicza za rękę niby żelaznemi kleszczami, mówiąc: — chodź Waść, zaraz się przekonasz!

Cześnikiewicz zbladł, niespodziewając się takiego obrotu rzeczy, chciał Stolnikowi rękę wyrwać, ale do tego miał za mało siły, dla tego mimowolnie wszedł, a raczej był wciągnięty przez Stolnika do salonu.

Nie długo trwało, gdy weszła Stolnikowa prowadząc wybladłą i chwiejącą się Celinę za rękę.

— Czego sobie życzysz, mój mężu? — zapytała Stolnikowa łagodnie.

Stolnik na widok córki wpadł znowu w pasyę, ale wpatrzywszy się w jej wynędzniałe i wybladłe lica, uczuł w sercu litość i gniew jego opadł. Wargi jednak mu drzały konwulsyjnie.

— Celino! — zawołał wyciągając rękę ku Cześnikiewiczowi — oto pan Cześnikiewicz ponowił w tej chwili u mnie prośbę o twą rękę. Powiedz zaraz, oddasz mu ją dobrowolnie, czy nie?

Stolnikówna, uderzona słowami ojca, jak gromem, zadrzała, zalała się łzami i ukryła głowę na piersiach matki.

— Jeszcze raz zapytuję się ciebie, — krzyknął ponownie Stolnik, — odpowiadaj czy tak, czy nie?

Stolnikówna nic nie odpowiedziała, a Stolnikową odważyła się powiedzieć:

— Ale mój mężu, takie zapytanie? w tym tonie? i to jeszcze dzisiaj, kiedy...

Stolnik nie dał jej domówić, skinął ręką na znak milczenia, a zwracając się do córki, krzyknął groźnie:

— Po raz ostatni pytam się ciebie: tak czy nie?

Na to ostatnie wezwanie podniosła Celina poważnie głowę, puściła matkę i jak piękny biały marmurowy posąg zbliżyła się do ojca, uklękła i objęła rękami jego kolana. Stolnik chciał się cofnąć, ale Celina spojrzała nań takim wzrokiem, że nie miał siły jej odpychać.

Wzniosła więc swoje łzawe oczy na ojca i wśród łkania ale pewnym głosem wyrzekła te słowa:

— Ojcze najdroższy! poszłam wprawdzie za głosem serca mego, za to odpokutowałam bardzo... ale się nie zhańbiłam. Pan Cześnikiewicz wyszpiegował mnie, naprowadził na mnie zgraję służalców, aby byli świadkami wynurzania mych uczuć... on mnie zhańbił! Teraz korzystając z usposobienia mego rodzica, żąda mej ręki nie dla mnie samej, gdyż wie, że serca mego nie posiędzie, ale dla innych celów. Ojcze najdroższy! kto się odważył hańbić mnie przed sługami, kto uczucia moje uszanować nie potrafił, kto pragnie mej ręki, aby swój zrujnowany majątek załatać, ten niewart mnie, Stolnikównej Turajskiej!!

Stolnik z początku słuchał obojętnie, później z większą uwagą, przy środku zaczęły mu drgać muszkuły twarzy, a przy samym końcu łzy, jak groch, poczęły mu się kulać po twarzy. Wzruszony stał chwilę i niemo przypatrywał się wciąż klęczącej córce. Wreszcie zniżył się i drżącym głosem rzekł:

— Córko moja, powstań!... pójdź tu do serca mego, niech cię uściskam... przebaczam ci wszystko!

Z głośnym płaczem rzuciła się Celina ojcu na szyję, a on całował ją w czoło i przyciskał do serca.

— Tak! przebaczam ci! — powtarzał, — boś ty poszła za głosem serca twego, aleś się nie zhańbiła, sam byłem świadkiem, gdyś uczucia twe wynurzała. Tyś temu niewinna, tylko my rodzice winniśmy, żeśmy na ciebie nie uważali.

Potem zwrócił się do Cześnikiewicza, który jak skamieniały stał nieruchomy, oparty o stół.

— Słyszałeś asan sam, — rzekł Stolnik, — jaką ci odpowiedź daje moja córka. Więc omyliłeś się bardzo, jeśli sądziłeś, że panna Celina chętnie ci odda swą rękę, gdyż inaczej wywikłać nie będzie się mogła... a otóż sam widzisz jak się wywikłała!... A co teraz asanu czynić wypada, sam będziesz najlepiej wiedział. Nadmieniam jeszcze, że od asana satysfakcyi nie żądam, boś jeszcze za młody!

To powiedziawszy pocałował jeszcze raz córkę w czoło, zaprowadził ją do matki siedzącej w fotelu, a potem nie spojrzawszy nawet na Cześnikiewicza, opuścił salon.

Stolnikowa także wziąwszy córkę za rękę, wyszła.

Cześnikiewicz pozostał sam. Blady, pomięszany, nie pojmował, co się z nim dzieje. Gdyby był grom uderzył koło niego, nie byłby na nim zrobił tego wrażenia, jakie wywarła mowa Stolnikównej, i w ogóle cała ta scena, która się w oczach jego odegrała.

— Ha! — syknął i podniósł ręce do głowy, a potem opuścił z głośnym szelestem na biodra. Chwiejącym krokiem zbliżył się do drzwi, uchwycił za klamkę, otworzył i we drzwiach jeszcze raz syknął:

— Ha!

Jak szalony wybiegł i udał się na swoje pokoje. Zadzwonił na służącego.

— Natychmiast odjeżdżamy! — krzyknął do wchodzącego.

Zdziwiony Marcin spojrzał na swego pana z niedowierzaniem.

— Natychmiast? — zapytał.

— Czy nie słyszałeś? — krzyknął Cześnikiewicz, — natychmiast! powtarzam!

— Dobrze! — odpowiedział Marcin.

— Więc ruszaj, niech konie będą w pogotowiu! rozumiesz?

— Rozumiem! — odpowiedział Marcin i kręcąc głową, wyszedł.

Skoro Cześnikiewicz sam pozostał, zbliżył się do okna... właśnie Stolnik wyjeżdżał konno bramą do jaskini potępieńca.

— Nawet nie chce się ze mną pożegnać! — bąknął sobie Cześnikiewicz pod nosem, i zwrócił się, aby rzeczy uporządkować.

Niedługo zatrudniał się tą pracą, gdy nagle dał się słyszeć ogromny łoskot. Cześnikiewicz przyskoczył do okna, spojrzał ku jaskini

potępieńca... dębu już nie było widać .. grotę w tej chwili rozwalono.

— Nawet i tego nie mogę być świadkiem! — rzekł zgrzytając zębami. — Dobrze mi tak, było dawno przeklętego cygana powiesić, lub przy pierwszej lepszej sposobności łeb roztrzaskać. Teraz już zapóźno!

Tak rozmawiając i klnąc cygana, układał rzeczy, porządkując je do podróży. Upłynęła może godzina, gdy nagle dał się słyszeć szelest przy bramie.

— Ktoś zajechał, — rzekł do siebie, — będzie trzeba się ze zamku formalnie wykraść... ale oto i służba wraca od jaskini!

W istocie tak było. Liczny orszak widny był zdala, jak ciemna, szeroka plama na horyzoncie.

Cygan opuściwszy Celinę, biegł jak szalony prosto przez pole zostawując jaskinię potępieńca po lewej stronie. Leciał pędem strzały, nie patrząc ani w tę, ani w ową stronę. Czapka spadła mu z głowy, on nie zważał na to; suknię rozdarł, bo mu piersi tłoczyła. Biegł blizko godzinę, a nie czuł zmęczenia, chociaż pot zalewał mu oczy. Tak lecąc bez celu, wpadł wreszcie na bity gościniec i nad bystrym potokiem padł wycieńczony przy moście. Chwilę leżał odrętwiały, ale zimno zbudziło go niedługo z letargu; podniósł się i błędnem powiódł okiem naokoło.

Głowa jego po ocknieniu była podobną do młyna, w którym szum spadającej wody połączony z trajkotem i stukiem kół rozlega się po okolicy. Cygan uderzony szumem i łoskotem w głowie, nie pojął od razu co się z nim stało. Krótkie omdlenie pozbawiło go na czas niejaki pamięci, dopiero gdy po chwili uczuł jakiś piekący ból w sercu, gdy spojrzał na bogaty pierścień na palcu, który zdawał się promienie wysyłać do niego, dopiero wszystko wróciło do jego pamięci i w całej okropności odrysowało się w jego duszy.

Podniósł się na kolana i spojrzał na około, jakby badał okolicę. W tem wzrok jego padł na potok szumiący u stóp jego. Utkwił weń rozpłomienione oczy, usta jego skurczyły się niby do uśmiechu, bo w głowie powstala mu nagle myśl, że może teraz wykonać to, czego tak gorąco pragnął.

— Ha! — zawołał, — tak chce moje przeznaczenie, o! ono samo zawiodło mnie na to miejsce. Tak, tu kres moich cierpień! Tutaj niech spocznę po tem, com przeżył dotychczas. Cóż po mnie na świecie?... Zbliżyłem się do tych, do których mnie serce ciągnęło, a oni!... oni mnie odepchnęli!... I czegóż żądam od nich?... Tak, tu kres moich cierpień. Jam cygan... wzgardzony od świata, bity kijmi, wyszczuty psami... nie mam innego ratunku, jak dobrowolnie ukrócić to nieznośne życie... (pauza) Ona taka dla mnie dobra!... ale cóż? już mi jej więcej widzieć nie wolno!! Dała mi oto ten pierścień na pamiątkę!... o niech go ucałuję... niech go raz ostatni ucałuję, a potem zagrzebię się razem z nim tam oto w tym zimnym grobie!...

Tu podniósł rękę do ust i pierścień namiętnie całował. Potem znów rozpaczliwie mówił do siebie:

— Umrzeć muszę... tak, muszę, bo jakież życie mogę teraz wieść na świecie? Cóż mi po mojem nędznem życiu, kiedy już jej nigdy nie mam zobaczyć? A sama zakazała mi, bom cygan, a ona... z cyganem... Wielki Boże! wielki Duchu! nie potępiaj mnie za to, że sobie skracam życie, bo sam widzisz, że dłużej żyć nie mogę. Ty mnie za to nie potępisz, nie... o! nie, bo sam mnie tu przywiodłeś, sam zaprowadziłeś nad ten brzeg tego strumienia, sam mi wskazałeś miejsce mego wiecznego spoczynku!...

Tu powstał na nogi, założył ręce na krzyż i chwilę stał nieruchomy, wlepiwszy oczy w szumiący potok. Wargami ruszał, jakby coś szeptał... może się modlił. Po chwili zadrżał, opuścił ręce i rzekł znowu:

— Po cóż zwlekam, co się jednak stać musi?... Czemuż zaraz nie wskoczę w ten grób, który dla mnie już przygotowany?... O śmierci! widzę cię na dnie strumienia... widzę... Tyś lepsza od ludzi... ty nie każesz mi cierpieć... ty kiwasz na mnie, abym skrócił cierpienia... O! słucham cię... idę... Żegnaj mi więc ty moja pani, która jedyna łaskawie z cyganem rozmawiała... Żegnaj na wieki! Pójdź pierścieniu do mego serca, z tobą razem pójdziemy do mokrego, zimnego grobu. O! śmierci! ty wciąż na mnie kiwasz... o! zaraz idę!... już jestem... żegnaj mi świecie!... żegnaj mi o pani!...

To mówiąc, skoczył z mostu w strumień.

Woda zahuczała, rozstąpiła się i mokremi ramionami objąwszy cygana, zlała się nad ciałem jego, jakby ślad po nim na wieki zagubić chciała.

Czy już cygan zniknął ze świata?

Nie! jeszcze we wyrokach nieba śmierć jego nie została postanowioną; jeszcze Bóg duszy jego na tamten świat przyjąć nie chciał.

Podczas monologu cygana, toczyła się drogą ku mostowi z przeciwnej strony kolasa jakaś czterokonna. W kolasie siedział mężczyzna podeszły, a obok niego również podeszła w leciech pani.

— Patrzaj tylko, mój mężu, — mówiła niewiasta do obok siedzącego męża, — co to tam ten człowiek około mostu wyrabia. To klęczy, to się zrywa, to składa ręce... istotnie jak szalony.

— Już oddawna uważam na niego, — odpowiedział mężczyzna, — ale ruchów jego pojąć nie mogę. Widzi mi się jednak, że ten człowiek ma zamiar popełnić samobójstwo... ot patrzaj!...

— Jezus, Marya!... — zakrzyknęła pani w kolasie, gdyż w tej chwili nieznajomy człowiek skoczył we wodę.

— Jedź co koń może wyskoczyć! — krzyknął pan na stangreta, — może jeszcze się da wyratować nieszczęśliwego.

Stangret zaciął konie i w szalonym pospiechu stanął na moście. Służący ze stangretem skoczyli natychmiast, pobiegli nad wodę, ale tam już ciała samobójcy w tem miejscu, gdzie skoczył, być nie mogło, gdyż bystry pęd wody musiał już je unieść daleko. Jakoż w tej chwili woda wyrzuciła cygana o staję od mostu. Zobaczywszy to pobiegli czemprędzej w to miejsce i niedługo udało im się wyciągnąć topielca z wody.

Położyli go nad brzegiem.

— Już pewnie bestya nie żyje!... — rzekł stangret, napił się zanadto wody.

— Zobaczymy! — odpowiedział służący.

Cygan lubo nie dawał znaku życia, jednakże jeszcze był żyjącym, o czem zaraz się przekonano, gdy po małej chwili otworzył oczy i powiódł niemi na około, ale potem zaraz je zamknął.

— Wcale nam się nie opłaciło, — rzekł znowu Stangret, — dla takiego człowieka nie warto było się pomaczać.

— A to czemu? — zapytał zdziwiony służący.

— Czemu? — odpowiedział stangret, — alboż nie widzisz co to za jeden? czyż nie poznajesz, że to cygan?

— Cicho! — odrzekł krótko służący, — trzeba i cygana ratować. Zresztą radzę ci, abyś dobrze język trzymał za zębami w obecności państwa, boby ci pan Miecznik dobrze uszów natarł... Państwo idzie!

Rzeczywiście pan i pani wysiedli z powozu i zbliżali się do wyciągającego z wody człowieka. Zbliżyli się i chwilę przypatrywali się cyganowi.

Naraz na twarzy pana ukazał się wyraz wielkiego zdumienia.

— Ach!... ach!... — zawołał, — to dziwny traf!

— Cóż to? czy go znasz? — zapytała pani.

— Znam go i nie znam, — odpowiedział zapytany. — Znam, bo mi ocalił życie, a nie znam, bo nie wiem co to za jeden.

— On ci życie ocalił?

— Tak jest, tak! przecież ci już o tem powiadałem. Przed kilku tygodniami byłem u Stolnika Turajskiego na polowaniu. Siedzieliśmy obaj na kłodzie drzewa, a zagadawszy się o polityce, nie zważaliśmy, że ogromny niedźwiedź już pazurami za głowy nasze chwytał. Zguba nasza była widoczna, bo do schwytania za broń już czasu nie mieliśmy. Wtem wypadł ten oto człowiek z gęstwiny, utopił kordelas w sercu niedźwiedzia i w tym samym momencie zniknął nam z oczu.

— A więc to ten człowiek jest twój dobroczyńca! — rzekła niewiasta, patrząc czule na cygana; — zasługuje więc na naszą wdzięczność.

— Tak jest, moja żono i to na wdzięczność bez granic, bo on ocalił mi życie, nie żądając nawet podziękowania. Ale znam go jeszcze zkąd inąd, o czem ci jeszcze nie powiadałem. Jadąc do Turaju, spadło mi nocną porą koło przy jaskini potępieńca. Gdy służba koła napróżno szukała, ten człowiek zjawił się nagle, wsadził koło i nie czekając podziękowania, znikł w ciemności.

— Z kroju jego ubioru podobnym jest twój wybawca do cygana, — mówiła niewiasta schylając się nad leżącym na ziemi człowiekiem, — ale z twarzy przebija szlachetność i nie ma w niej nic cygańskiego.

— Zobaczymy! w każdym razie ocućmy go najprzód, a potem zawieziemy z nami do Turaju, tam się dowiemy, co on za jeden.

To rzekłszy, sam zajął się trzeźwieniem cygana. Na szczęście nie długo zostawał on we wodzie i jak nam wiadomo, jeszcze żył, dla tego obudzenie go było bardzo łatwem. Gdy pani przytknęła mu do nosa flakonik z mocną pachnącą wódką, otworzył oczy, ale je znowu zamknął, gdyż jeszcze nie przyszedł do przytomności. Lecz i tę niedługo odzyskał.

Zdziwiony otoczeniem, zaczął sobie przypominać co się z nim działo, a gdy sobie przypomniał, że skoczył we wodę, nie wiedział teraz czy żyje, czy też znajduje się na drugim świecie.

Żadano mu kilka pytań, ale na żadne nie odpowiedział ani słowa.

Nie zważając na jego milczenie, wsadzono go do powozu. Skoro tylko usiadł, a raczej położył się, wpadł zaraz w sen głęboki.

Łaskawy czytelnik poznał w nieznajomym panu znanego nam z poprzednich rozdziałów Miecznika, a zarazem dorozumiał się, że towarzyszka jego była pani Miecznikowa Jabłowska. Ale zkąd oni się tu wzięli? Oto jechali w odwiedziny do Turaju. Szczęście chciało, że trafili w sam czas, aby cygana uchronić od niechybnej śmierci. Nie wiedzieli jednak, że cygan, gdyby nie był zasnął, na żaden sposób nie dałby się zawieźć tam, gdzie przed godziną nieledwie miał być powieszonym.

Kolasa zbliżała się powoli ku Turajowi. W drodze państwo Miecznikostwo rozmawiali o tem i owem, a wreszcie zapytała pani Miecznikowa.

— Daleko jeszcze jesteśmy od owej sławnej jaskini potępieńca? Gdzież ona jest?

Miecznik wskazał ręką.

— Ot tam, — rzekł, — widzisz ten dąb sterczący po nad lasem? Tam jest jaskinia potępieńca. Stolnik chciał ją rozwalić, ale jak widzę, jeszcze dotychczas tego nie zrobił.

Po tych słowach umilkł i razem z Miecznikową wpatrywał się w owo osławione miejsce.

Gdy od jaskini byli na jakie tysiąc kroków oddaleni, usłyszeli straszliwy łoskot, słup dymu wzbił się nad jaskinią... a potem cisza.

Pani Miecznikowa krzyknęła przestraszona, a Miecznik klasnąwszy w dłonie, zawołał:

— Aha!... trafiamy właśnie na rozwalanie groty.

Gdy dym opadł, już dębu widać nie było, tylko las pokazał się równym, jakby wierzchołki drzew było nożycami pod sznur obcięte.

— Pospiesz się! — krzyknął Miecznik na stangreta.

Stangret zaciął konie i w momencie stanęli na miejscu przy rozwalonej jaskini.

Skoro Stolnik opuścił salon i Cześnikiewiczowi dał do zrozumienia, że na zamku nie ma teraz wcale racyi przebywać, siadł na konia i pojechał do jaskini potępieńca, aby robotą dalej osobiście kierować.

Wzburzony umysł jego pod wpływem chłodu, powrócił do równowagi o tyle, że prawie uspokojony mógł się zająć kierownictwem i że nikt nie poznał, co się przed krótkim czasem w sercu jego działo.

Dziury już były po części wyświdrowane, dla tego kazał je Stolnik nabić prochem mocno, założyć lunty, potem ludziom pochować i pokryć się w bezpieczne miejsca. Sam odjechał na kilkaset kroków, aby uniknąć niebezpieczeństwa, a jednak mieć wolny widok na jaskinię. Zapalono wreszcie lunty.

Nastała chwila gorączkowego oczekiwania — żadna pierś nie odetchnęła, a wszystkich serca biły gwałtownie.

Eksplozya nastąpiła. Straszny huk dał się słyszeć, pomięszany z przeciągłem hura! ho! zgromadzonych widzów, słup silnego dymu wyskoczył z wierzchołka jaskini, a potem cisza, przerywana tylko spadującemi ułamkami kamieni. Góra skalista się rozerwała, a dąb zwalił się na stronę, odkrywając wygodne wnijście do jaskini pod swemi konarami.

Chwilę trwało milczenie, po którem z głośnem hura! ho! skoczyli przytomni z ciekawością na górę. Ciemna grota, do której dotychczas nikt dojść nie mógł, stała przed nimi otworem, a w grocie ujrzano z nieopisanem zadziwieniem jakąś brzydką ludzką figurę na ziemi. Przelęknieni odskoczyli coprędzej z głośnym okrzykiem:

— Bies! bies!...

Stolnik nadjechał, usłyszawszy ów dziwaczny wykrzyk.

— Cóż tam? — zapytał.

— Bies, JWpanie Stolniku! bies! — odpowiedziano.

— Głupstwo! — rzekł, zsiadł z konia i poszedł sam, aby mniemanego biesa oglądać.

— Wynieście tę istotę! — zawołał rozkazująco.

Z obawą, ostrożnie weszło kilku śmielszych i za chwilę wrócili, niosąc jakąś postać. Była to staruszka odwieczna, brzydka co się zowie i zupełnie bez życia, a przynajmniej omdlała. Położono ją na ziemi, nie wiedząc, co z nią począć.

Gdy ją Stolnik zobaczył, wzdrygnął się i rzekł z cicha do siebie:

— Ta sama twarz, którą w otworze groty dawniej widziałem!

Służba zaś stanęła na około i przypatrywała się z bojaźnią leżącej na ziemi istocie, nie wiedząc, czy ją policzyć do ziemskich stworzeń, czy też do potworu z piekła. Że jednak owa istota leżała spokojnie i ani ogniem nie buchała, ani też zapachu siarki nie poczuli, przeto nabrawszy serca, zaczęli zwolna sypać żarcikami.

— To bies! — zawołał jeden.

— To czarownica! — krzyknął inny.

— To djabeł z piekła! śmiał się trzeci.

— Na gałąź z nim! — wołano wśród śmiechu.

— Dalipan! jeśli to nie bies, to ta sama baba, co mi raz wróżyła. Panie Guliszewicz — a przypatrz-no się waszmość! Dalipan!

Zawołany zbliżył się do leżącej.

— No! nie przysięgam, — rzekł, — ale bodaj że to ona. Panie Marucki! ano powiedz, boś i waszmość ją pewnie widział.

Marucki patrzył przez chwilę, a potem wstrząsnął głową i rzekł stanowczo:

— Nie, to nie ona, to bies!

— Ha! ha! ha! — zaśmiał się pierwszy, — dalipan, bies? dalipan, panie Marucki, sam w to nie wierzysz, bobyś już dawno dał drapaka! Dalipan!

— A proszę ze mnie nie drwić, mój panie Plisza, — zawołał urażony Marucki i odszedł, gdyż dowcip pana Pliszy huczne zyskał oklaski, a nawet samemu Stolnikowi ściągnęły się usta do uśmiechu.

Większa część jednak widzów przypatrywała się ze zgrozą nieruchomie leżącej postaci. Była ona też brzydką — brzydszą, aniżeli można nawet sobie wystawić. Oczu jej widać nie było można, gdyż zamknięte powieki nie dozwalały dojrzeć źrenicy; sądząc jednak po strasznych dołach w miejscu, gdzie oczy znajdować się zwykły i po czerwonych powiekach, można było naprawdę myśleć o jakich jaszczurczych lub bazyliszkowych ślepiach, zdolnych samem wejrzeniem zabić człowieka. Aż do najokropniejszego stanu wychudłe ręce miała owa postać na krzyż rozpostarte, jako znak całkowitego obumarcia. Najżarłoczniejsze wilki lub hyeny nie byłyby się pokusiły skosztować staruszki, gdyż nie obgryzłyby ani trochę ciała, tak była wynędzniałą i wyschłą. Odzież jej zaś przechodziła wyobrażenie. Kilka szmat podartych okrywało ją, a to wszystko podarte, brudne, a nawet tu i owdzie miało znaki i plamy krwiste. Głowa niczem nie okryta, porosła była włosem długim, prostym, czarnym, tu i owdzie w kołtuny splątanym. Widoczna była rzecz, że grzebień już od dawna owego lasu włosistego nie nawiedzał. Dodajmy do tego kark wyschły, cienki z bardzo widoczną grdyką, pierś żółtą i nagą, nogi cienkie jak badyle, także nagie, a będziemy mieli obraz owego widziadła, wyniesionego z jaskini.

Nie trzeba się więc dziwić, że przytomni ze zgrozą odwracali oczy od tego obrazu.

Pośród ogólnego milczenia usłyszano naraz trzask z bicza, turkot kolasy i... w parę minut witał Stolnik Miecznika jak najserdeczniej.

— Witam waszmości Dobrodzieja! a witam pana mego i sąsiada! — wołał uradowany Stolnik.

— W sam czas przybyłem, — odrzekł Miecznik, — ano zobaczę jeszcze świeżo rozkopaną jaskinię, z której zapewne biesa już wypędziliście.

— Nie wiem, co o tem sądzić, — mówił Stolnik, wzruszywszy ramionami, — bo lubo widziałem, jednak...

— I cóż takiego? — zapytał Miecznik z ciekawością.

— Mamy biesa, ale...

— A gdzież jest?

— A owóż tam! — odpowiedział Stolnik wskazując na grupę ludzi, którzy staruszkę otaczali.

Miecznik z uśmiechem wziąwszy żonę pod rękę poszedł ze Stolnikiem, zbliżył się do leżącej staruszki, ale w tej chwili odskoczył na bok, jak oparzony.

— To ona! — wykrzyknął.

— Ta sama, — dodał Stolnik, — ta sama, którą raz w jaskini widzieliśmy.

— To bies! — zawołał ktoś z tłumu.

— Czy żyje? — zapytał Miecznik, zbliżając się do postaci.

— Nie wiem, — odpowiedział Stolnik, — boję się dotknąć tego szkieletu.

— Zobaczmy!

Miecznik zbliżył się zupełnie, schwycił za rękę, badał puls, słuchał uderzenia serca, ale nadaremno, — staruszka nie dawała żadnego znaku życia. Sądził więc, tak samo jak inni, że ma przed sobą tylko trupa.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

BAŚNIE.

ZACZAROWANE PĄCZKI.

Był to długi mroźny wieczór zimowy. Szewc Smolewicz rzucił z niechęcią but, nad którym pracował, przecierając ręce i bijąc się niemi po ramionach, by rozgrzać przez to zmartwiałe od zimna palce.

„Nie, to nie do wytrzymania," rzekł mrukliwie; „nasza nędza zbyt wielka. Po wielu dniach gdzieśmy siedzieli w ciemności, świeci się dziś pierwszy raz lampka z olejem, bo zarobiłem kilka groszy, to znów nie mamy ani kawałka drewna. Jutro mam oddać but sporządzony, ale jakże tu podobno robić co w takiem zimnisku! Zamarnuję się do szczętu!"

Agnieszka, jego żona, by ujść zimna, położyła się była w łóżko, ale słysząc męża tak wyrzekającego, wstała prędko i usiłowała daremnie rozniecić kilka czarnych węgli na kominie.

„Gdybym był czeladnikiem, mógłbym u ladajakiego majstra siedzieć w ciepłej izbie", mówił Smolewicz z niechęcią. „Ale Bóg stworzył ten ród niewieści na nieszczęście nasze. Człowiek da się otumanić i ożeni się na to, aby głód i zimno cierpieć. Żebym to jeszcze miał dzieci, tobym przynajmniej wiedział dla kogo się biedzić."

Agnieszka była zwyczajną podobnych wymówek, i czyniła mądrze, że milczała, bo widziała często u swoich kumów, że szewcy nie lenią się w okładaniu pocięglem żon swoich. Po chwili namysłu uściskała swego srożącego się męża i rzekła wesoło: „Nie troszcz się tak bardzo mój mężu, wiem zkąd wziąść drzewa. Drogoskaz za miastem jest już bardzo stary i spruchniały, nie będzie to wiele pracy kosztowało obalić go i porąbać, a będziem na parę dni mieli ciepło jak w raju".

Ta propozycya została przyjętą. Agnieszka ubrała się spieszno i wkrótce potem znajdowali się obaj małżonkowie za miastem u drogoskazu, który miał postać człowieczą. Podciąwszy siekierą jego spruchniałe nogi, obalili go i ucinali mu głowę i ręce. Właśnie byli ukończyli tę zmudną robotę i zabierali się do domu, kiedy usłyszeli, iż woła ktoś szewca po nazwisku. Wkrótce stanął przed nimi leśniczy z ładnym chłopczykiem na ręku. Oni chcieli uciekać, ale on zastąpił im drogę, i prosił by słuchali co im powie.

„Nie powiem nikomu o kradzieży, którą popełnić zamierzaliście", rzekł uprzejmie leśniczy, „przybyłem tutaj dla waszego dobra, i właśnie chciałem iść do domu waszego. Ten chłopczyk", rzekł wskazując na dziecko, które trzymał na ręku, „został mi dzisiaj powierzony. Mam go umieścić gdzie u poczciwych ludzi, bo jest sierotą. Wy nie macie dzieci, jesteście ubodzy, więc wam zapewne obie te rzeczy miłemi będą, dziecko i pieniądze. Oto macie trzysta talarów, weźcie chłopca, a zostawcie drogoskaz. Za godzinę przyślę wam w dodatku furę suchego drzewa".

Smolewicz i jego żona ucieszyli się niewymownie, wszystkie ich życzenia zostały spełnione. Podziękowali serdecznie leśniczemu i zanieśli chłopca do domu. Obiecane drzewo przybyło niebawem, jasny ogień palił się wkrótce na kominku wesołym trzaskiem, a Smolewiczo-

wie byli gdyby w niebie. Chłopczyk miał zaledwie dwa lata i szczebiotał gdyby szpaczek. Padi szewcowa słyszała się z wielką uciechą nazywaną słodkiem imieniem matki, piastowała na jednej ręce chłopca, a na drugiej spory wór pieniędzy, które z nim dostała. Agnieszka rozbierając go do spania, znalazła w kieszonce jego bluzki 20 ślicznych świecących luidorów. Cała jej troskliwość zwróconą odtąd była na przybranego syna. Smolewicz pracował teraz z przyjemnością, i zewsząd sypała mu się robota. Już teraz nie mruczał i nie narzekał, a spokój i błogość panowały w domu szewca. Ród chłopca został jednakże dla nich tajemnicą; ale z tem tak się rzecz miała:

Księżna Wiesława straciła męża. Jego krewny, książę Wacław, wpadł do kraju, zabrał jej dobra, i zamknął ją z synem do ciemnej wieży po nad Gopłem. Jej płacz i narzekanie rozlegało się wśród ciemności nocnych aż po za ciche jezioro. Jej jedyne dziecię, które jej nie wolę dzieliło, głód i zimno z nią cierpiało, oblewała łzami i tuliła do łona. Kołowrotek z kosztownego drzewa i len gdyby jedwab, które zabrała ze sobą, chcąc sobie przędzeniem skracać niewolę, stał nietknięty w kąciku wieży.

Jednego wieczora uspokoiła się nieco. Dziecię usnęło na jej łonie. Chciała się właśnie położyć na słomę, która jej za posłanie służyła, gdy usłyszała jakiś szelest; było to, jak gdyby się coś po murze skrobało. Coraz to bardziej zbliżał się ten odgłos, a obawa wzmagała się co chwila. Nakoniec zasztukało coś za piecem. Wiesława zebrała całą przytomność umysłu i oczekiwała co nastąpi dalej. Lampka była zagasła, lecz księżyc świecił jasno przez okienko w wieży. Widziała wyraźnie, jak się za piecem podniosło kilka cegieł, i z pod nich wyszedł mały karzełek z łysą głową.

,,Mieszkańcy podziemnych krain ofiarują ci przezemnie pomoc i opiekę", rzekł; ,,ja się nazywam Łysalek i przybywam, by cię ocalić; bo twój krewny i jego żona, wydali już wyrok śmierci na ciebie. Najprzód trzeba twe dziecko w bezpieczne ukryć miejsce, bo to biedne stworzenie nie mogłoby tu pozostać bez ciebie. Za kilka godzin powrócę, by cię wywieźć za granicę".

Księżna wachała się długo, czy powierzyć swe dziecię małej pokrace, a miłość macierzyńska walczyła w jej sercu z śmiertelnym strachem. Ale poczciwa twarzyczka Łysalka, i jego słowa pełne otwartości i dobroci, skłoniły ją nakoniec do oddania mu jednego dziecięcia, które i tak blizkiem było śmierci, bo już przeszło 24 godzin nie dostało nic do jedzenia, tak jak i ona. Karzeł nakarmił chłopca bułką z miodem, przyniósł z zapieca mnóstwo przedziwnych potraw dla księżnej, i oddalił się jak przyszedł, zabrawszy ze sobą dziecko, z którem się księżna wśród strumienia gorzkich łez pożegnała, włożywszy mu w kieszonkę połowę z swoich pieniędzy.

Łysalek przyniósł chłopca do leśniczego Hardosza, i polecił mu oddać go dla większego bezpieczeństwa na wychowanie, do szewca Smolewicza.

,,Czeka na mnie dziś jeszcze wielki obowiązek," mówił Łysalek do Hardosza; ,,zanim dnieć zacznie muszę wywieźć matkę tego dziecka za granicę. Ale ty musisz mi być we wszystkiem pomocnym. Zaniosłszy dziecko do Smolewicza, pospiesz się i przybądź o północy do boru i stań pod wypróchniałym dębem nade drogą. Gdy wrony, które będą siedziały na wierzchołku drzewa, zakrakają po raz trzeci, wtenczas napnij łuk i puść strzałę w powietrze ku drodze, nie zważając atoli w kogo ona trafi. Ale dotrzymaj święcie słowa i nie troszcz się o to, co się około ciebie dziać będzie; bo od tego zależy szczęście księżnej Wiesławy; a ja byłbym zmuszony, niespełniwszy mego zlecenia, do mieszkań mej podziemnej ojczyzny powrócić. Liczę na twą poczciwość. Twoja fatyga będzie ci obficie nagrodzoną".

Hardosz podał rękę na znak, że wszystko wypełni jak najściślej, i Łysalek udał się w głąb lasu.

Wiesława rozpaczała, iż się dała nakłonić karłowi do oddania mu dziecka. Czekała już przeszło ośm wiecznie długich godzin, a on nie powracał, lecz do tego miał słuszną przyczynę.

Hardosz, oddawszy chłopca Smolewiczom, udał się o północy na naznaczone miejsce. Księżyc był zaszedł; noc była ciemna, na dębie pełno siedziało ptaków, lecz można to było tylko poznać po szeleszczeniu ich skrzydeł. W tem zakrakała wrona, Hardosz nadstawił ucha; wkrótce powtórzyło się krakanie, Hardosz napiął łuk, a gdy trzeci raz zaczęła krakać liczne wron zgromadzenie, strzała zaświsła w powietrzu. Głośne rżenie rumaka rozległo się wśród lasu,

spadł ktoś z konia, i Hardosz usłyszał jęk i stękanie.

Niezmierna ciekawość opanowała leśniczego. Spieszno wyjął hupkę i krzemień z kieszeni, rozniecił światło i pobiegł ku miejscu zkąd jęk pochodził. Przy bladem lampki światełku poznał w umierającym księcia Wacława, który zapewne pobłądził na łowach. Aby ujść wszelkiemu podejrzeniu, dał znać natychmiast do sądu, że znalazł w lesie nieżywego księcia. Przez tę niewczesną ciekawość popsuł Hardosz wszystkie szyki karzełkowi.

Łysalek nie mógł teraz dokończyć swego dobrego czynu, musiał powrócić do ojczyzny, i dopiero po trzynastu latach wolno mu było wyjść na powierzchnią ziemi. Zostało mu tyle czasu, by powierzyć rybakowi Korbalczyk, wiernemu słudze Wiesławy, środek do ocalenia nieszczęśliwej księżnej.

„Weź", rzekł, „oswojoną srokę, którą masz w domu, przywiąż jej, gdy dnieć będzie, sznurek do nóżki, co go znajdziesz pod wieżą; zawiąż jej około szyi list, w którym doniesiesz Wiesławie, że mi przeszkodzono w jej ocaleniu, że ma mieć zaufanie do tego sznurka, lubo on się bardzo cienki być zdaje. Że on jest robiony w kraju karłów i jest tak mocnym, że największe ciężary utrzyma, i że księżna ma go przywiązać przy oknie. Gdy go przywiążesz sroce do nóżki, poleci ona z nim wprost do wieży po nad Gopłem".

Wierny sługa uczynił jak mu kazano. Srcka wleciała otwartem oknem do więzienia księżnej i usiadła na jej ramieniu, i pozostała tak długo, dopókąd ona listu nie przeczytała i sznurka nie odwiązała.

Wiesława, która się mniemała blizką śmierci, ucieszyła się niewymownie, postąpiła sobie ściśle tak jak było napisano, i już była na połowie wieży spuszczając się po sznurze, gdy się gwałtowny wiatr podniósł i rzucał ją w tę i ową stronę. Pomimo wszelkich wysileń nie mogła stanąć na lodzie, który wówczas całe jezioro pokrywał. Siły ją opuściły i wpadła w wielką przerębię, wyrąbaną przez rybaków. Wierny sługa widział z daleka upadek księżnej, lecz nieszczęściem nie mógł przyjść na jej ratunek, bo przerębla była bardzo daleko od brzegu. Lubo środki ratunku były możebnemi, rybak nie śmiał wspomnieć o tem do nikogo, bo się lękał księcia Wacława i żony jego. Nazajutrz poszedł do swego krewnego, leśniczego Hardosza, opowiedział mu wszystko i prosił go, by się zajął z nim poszukaniem ciała utopionej księżnej. Hardosz odradzał mu, zaklinał go, by tę całą przygodę zamilczał, i rozmyślał tylko nad tem, jakby powetować sobie utraconą nagrodę od karłów i Wiesławy, i udał się do księżnej Wacławowej, która wszystkie jej dobra odziedziczyła. Poszedł więc do niej, prosił o posłuchanie, które natychmiast otrzymał, i tak do niej przemówił:

„Jaśnie oświecona księżno i pani! Smutny los spotkał cię pani. Małżonek twój został zbrodniczą ręką zabity. Twoja nieprzyjaciółka uciekła i gotowa zniszczyć twoje panowanie. Ja sam tylko jestem w stanie obronić cię, Wiesławę na zawsze oddalić, i uczynić ją niezdolną szkodzenia ci. Lecz musisz mnie przyjąć w służbę i zaufać mi w każdym razie. Mam związki z karłami, od których wszelką moc posiadam. Dopókąd jestem przy tobie pani, nie potrzebujesz się lękać niczego i daję za fant moją głowę, iż Wiesława nie powróci, dopóki ja żyję i na waszym znajduję się dworze. Jeżeli się chcesz przekonać, czy ja więcej wiem niż inni ludzie, obejrzyj sznur, na którym się Wiesława z wieży spuściła. Podobnego przędziwa nie masz na naszej ziemi".

Gdy wszyscy powroźnicy w mieście oświadczyli, iż nie widzieli jeszcze tak osobliwego sznuru, i gdy o Wiesławie przeszło pół roku nic słychać nie było, oddała księżna Wacławowa Hardoszowi urząd radzcy i uczyniła go intendentem wszystkich dóbr swoich. Przez to nabył u niej coraz większego wpływu, a po kilku latach przyszło do tego, iż rządził prawie samowładnie. Stawszy się księżnie nieodbicie potrzebnym i pozyskawszy jej całkowite zaufanie, rzekł do niej razu jednego:

„Tobie pani, jako mej największej dobrodziejce, muszę objawić tajemnicę, którą mam na sercu. Wiedz, iż syn Wiesławy żyje, rośnie rześko i zapewne niejedne plany w swej młodej knuje głowie; może on ci pani zaszkodzić nie mało i nawet odebrać majątek. Jeden masz tylko sposób do utrzymania się przy swej posiadłości: musisz mi oddać twoją rękę i uczynić mnie współdziedzicem. Byłoby to bardzo korzystnie dla ciebie pani, gdybym się memu sprzymierzeńcowi, karłowi, okazać mógł w książęcym blasku; przez to wzbudziłbym

w nim tem większą chęć służenia mi, i pognębienia wspólnych naszych nieprzyjaciół".

Księżna odpowiedziała, iż wszyscy jej poddani, jako i ona, poważają go bardzo, i że gotową jest oddać mu rękę, lecz wprzódy chciałaby dać sobie wróżyć o przyszłości. Kazała przywołać do siebie cygankę, która była zawołaną wróżką. Na zapytanie księżnej, czy potrzebuje obawiać się syna Wiesławy, odpowiedziała wróżka: ,,Uczyni cię nieszczęśliwą, jeżeli samą pozostaniesz".

Ta odpowiedź była dostateczną, by nakłonić księżnę do oddania ręki Hardoszowi.

Wszyscy byli w największem podziwieniu, że prostemu leśniczemu udało się pozyskać rękę księżnej, lecz, że wszystko szło daleko porządniej od czasu jak Hardosz był doradzcą księżnej, niżeli za życia księcia Wacława, więc nie ganiono zbytnie wyboru wdowy; lubo całe księstwo ubolewało szczerze nad losem Wiesławy i jej syna.

Syn Wiesławy został od Smolewiczów nazwany Kazimierzem. Hardosz chętnie chciałby mu był odebrać życie, lecz jego sumienie sprzeciwiało się temu. Zresztą nie obawiał się też, by ten chłopiec z wychowaniem, jakie u szewca pobierał, mógł mu się stać kiedyś niebezpiecznym.

W pierwszych latach powodziło się Kazimierzowi bardzo dobrze; lecz gdy się pieniądze, które z nim nadeszły, wyczerpnęły, a więcej nie przybywało, musiał cierpieć nie mało. Już wcześnie uczono go rzemiosła szewskiego. Jego delikatne palce spuchnięte były nie raz od grubej dratwy, a pocięgiel krwawił codziennie jego plecy.

Pomiędzy paniami przychodzącemi kupować trzewiki u Smolewicza, podobała się Kazimierzowi najbardziej jedna, która wprawdzie rzadko przybywała, lecz zawsze bardzo dlań uprzejmą była. Nosiła na sobie śliczną zieloną, jedwabną suknię, która zawsze równie świeżo wyglądała, lubo obca pani zapewniała, iż to jest jej codzienny ubiór.

Nadeszły zapusty. Pani majstrowa zarobiła pączki, postawiła tygiel z tłuszczem na węglach w kominku, by je w nim smażyć, gdy w tem została odwołaną przez sąsiadkę i kazała Kazimierzowi dać baczenie na tygiel.

Zaledwie wyszła była z izby, gdy nieznajoma pani w zielonej sukni ukazała się we drzwiach; rozmawiała poufale z Kazimierzem i wsypała biały proszek w tygiel. Chłopiec zląkł się bardzo, lecz ona pogłaskała go po twarzy i rzekła: ,,Nie troszcz się, poznasz z czasem, że na twoje dobro to czynię".

Gdy majstrowa wróciła, nieznajoma pani kupiła parę trzewików i odeszła. Pani Smolewiczowa zajęła się teraz smażeniem pączków i tak mówiła do siebie: ,,Śliczne ciasto, tą razą będą pączki takie smaczne, że im się mój stary nie będzie mógł nacieszyć. Ciastka mojej sąsiadki niczem będą w porównaniu do moich. O jak mi moje sąsiadki, zaproszone na poobiedzie, będą zazdrościły tak ślicznych pączków".

Tak rozprawiając włożyła kilka w tygiel i patrzała z wielką radością, jak się same przez się przewracały w tłuszczu i nabierały ślicznego żółtawego koloru. Właśnie chciała wyjąć pierwszy, by zobaczyć czy już w środku wypieczony, gdy, o dziwy! pączek wyleciał kominem. Widelec wypadł jej z ręki, przeżegnała się kilka razy. I tak się stało z drugim, trzecim, czwartym i wszystkiemi pączkami. Włożyła inne, lecz i z temi nie inaczej się robiło. Mówiła pacierz, płakała, klęła, wylała tłuszcz i nalała świeżego, lecz wszystko nic nie poradziło. Potem pobiegła do sąsiadek, opowiedziała im swą osobliwą przygodę, i zwołała wszystkie, by się naocznie przekonały o jej nieszczęściu, i że nie z jej winy popsuła się poobiednia uczta. Wszystkie nie mogły pojąć, co to znaczyło, i były pewne, że to sprawka samego djabła.

W tem odezwał się Kazimierz, że widział, jak nieznajoma pani w zielonej sukni wsypała proszek jakiś w tygiel.

,,Djabelski chłopcze", zawołała majstrowa ,,więc dałeś nas otruć, oczarować, i nie mówisz. Popsułeś nam całą naszą ucztę! precz z mojego domu, ty hultaju, nicponiu, podrzutku!"

Majster dołączył do policzków, któremi majstrowa okładała biednego chłopca, kilka ostrych razów pocięglem, a sąsiadki dodały jeszcze cały grad obelg, słów zelżywych i szyderstw.

(Dokończenie nastąpi.)

OPACTWO CARROW

— PRZEZ —

J. F. SMITH

Z ANGIELSKIEGO.

CZĘSC PIERWSZA:

ZAMEK CARROW.

I.

Zamek Carrow należał do liczby tych pięknych budowli z czasów królowej Elżbiety, jakie już tylko w najsamotniejszych zakątkach Anglii napotkać można, usunięte zarówno od gwaru i plotek miasta, jak i od ruchu i zgiełku powszechnego życia. Niby poważna wdowa, trzymał się na ustroniu, z daleka od społeczeństwa i zwyczajów modnego świata, odmiennych od tego wszystkiego, co zaznał w czasach własnej młodości...

Dom mieszkalny był murowany z cegieł i kamieni, kształtem swym nieco do głoski *H* podobny. Miał szczyty wyniosłe i wspaniałe, dwa skrzydła po bokach, z wieżycami zdobnemi w herby i cyfry swego założyciela, już nieco zatarte ręką czasu, lub osłonięte gęstym bluszczem i innemi pasożytnemi krzewy, które się wiły po ścianach.

Wjazd główny od południa składał się z kolumnady, nad którą wysoka wznosiła się wieża, mająca na każdem piętrze po jednem oknie mocno naprzód wysuniętem, a wierzchołek jej zakończony był strzelnicami i tarasem obszernym, gdzie w czasie wojen domowych wystawiano działa dla obrony mieszkańców i odparcia napaści nieprzyjaciół.

Budowniczym i malarzom nowoczesnym zabronionem było zmieniać cokolwiek w urządzeniu i uporządkowaniu tego zamczyska. W wysokich komnatach o dębowem taflowaniu, przechowywały się wizerunki tych, co żyli i umierali w tym odwiecznym gmachu, i gdyby pierwotwory tych starych portretów wyjść mogły z podziemnych sklepień pobliskiej świątyni, gdzie po większej części spoczywały ich ciała, zastaliby niezawodnie te same sprzęty, których używali za życia, te same krzesła o wysokich poręczach, te szafy o rzeźbach bogato złoconych, te same stoły ciężkie, dębowe, te piękne obicia aksamitne, trochę tylko bardziej wybladłe przez czas i promienie słoneczne, przedzierające się wązkiemi oknami, nareszcie te same łóżka z baldachinami i te małe klęczniki, które tam za życia ich istniały.

Nic się nie zmieniło, prócz właścicieli zamku.

Obszerny zwierzyniec otaczający zamczysko, był gęsto zarosły wysokiemi drzewami, poprzeżynany dolinami i wzgórkami; szerokie zręby tylko mogły być mocniej oświecone od słońca, gdzie się pasały rącze daniele i sarny, skubiąc trawkę z rana, póki jeszcze rosa na niej nie obeschła; poczem kryły się w głąb lasu, by jak prawdziwi smakosze wypocząć w cieniu i spokojnie trawić spożytą ucztę...

Wszystkie przedmioty otaczające ten zamek, zachowały również powierzchowność poważną i uroczystą. Dęby, były to olbrzymy w swoim rodzaju, a czarne jodły, modrzewie i srebrzyste buki, zdawały się być rówieśnikami zamczyska, jeżeli nie starszemi od niego. Gawrony nawet, których przodkowie gnieździli się wśród gęstych liści tych drzech odwiecznych, zdawały się wyróżniać od ptactwa pospolitego; patrząc na ich

minę poważną i arystokratyczną, możnaby je było porównać mimowolnie do zgromadzenia kapituły kanonickiej, tak było coś imponującego w ich krakaniu. Widząc je latające bez obawy wśród całej włości, mniemałby kto, że czują to dobrze, iż są tworami uprzywilejowanemi, bezpieczne od postrzału gawiedzi i dzierżawców okolicznych, którzy zbyt poważali sir Williama Mowbray, aby się mieli odważyć strzelać ptaki w obrębie jego włości.

Nie należy ztąd wnosić, że baronet bawił się myśliwstwem. Wcale nie wychodził na łowy, ani też chował zwierzynę dla tych, co go odwiedzali. Oprócz plebana swojej parafii, byłego współucznia z wszechnicy Oxfordzkiej, nie przyjmował wcale innych gości u siebie. Życie pędził równie samotne jak zamek, w którym przebywał. Jedynem towarzystwem jego były książki; innego wcale nie pragnął.

Z tego powodu okolica Carrow-Abbey obfitowała w zwierzynę wszelkiego rodzaju, na co się użalali dzierżawcy folwarków, należących do baroneta, gdy co rok dla składania rachunków i wypłaty czynszów zebrali się w zamku; ale sir William był człowiekiem nader łagodnym i wyrozumiałym, i nieomieszkał wynagrodzić szkody zrządzane w zbożach i warzywach przez zające i bażanty, tak że chcąc nie chcąc, musieli dzierżawcy uznać się zaspokojonymi, chociaż mimo to nie przestawali corocznie odnawiać swych użaleń. Narzekanie i niezadowolenie zdaje się być przymiotem nieodzownym dzierżawców we wszystkich czasach i krajach.

Chociaż baronet sir Mowbray był właścicielem najobszerniejszych włości w całem hrabstwie, nie mięszał się jednak nigdy do wyborów, pozwalając swym dzierżawcom głosować według ich upodobania. Rzadko też kiedy wychodził po za obręb zwierzyńca, chyba co niedzielę z rana, udając się samotną ścieszką do kościoła parafialnego, gdzie zasiadał w małym krużganku, oponą zasłoniętym, naprzeciw ambony. Przybywał zazwyczaj pierwszy na nabożeństwo, a ostatni wychodził; ztąd włościanie rzadko kiedy mieli sposobność widywać żyjącego samotnie dziedzica.

Znali go tylko z dobroczynności nieograniczonej; serce tego człowieka zamknięte dla świata, otwartem zawsze było na głos niedoli.

Dom sir Williama składał się prawie z dwunastu sług, którzy po większej części zestarzeli się na usługach w jego rodzinie. Liczba ich znaczniejszą była w czasie, kiedy sir Mowbray wziął rozbrat ze światem; ale nie przyjmował wcale innych na miejsce tych, co się oddalali lub poumierali, nie chcąc widzieć obcych twarzy, a skutkiem tego liczba domowników z czasem zmniejszyć się musiała.

Wszelako człowiek ten żyjący w takiem odosobnieniu, że imię jego zdawało się wykreślone z pamięci dawnych przyjaciół, posiadał wysokie zdolności, któreby go zrobić mogły ozdobą parlamentu, — energię, mogącą kierować sterem rządu, — majątek dostateczny, by najchciwszego skąpca nasycić, — starożytne imię, głośne w dziejach wielkiego narodu, — i sławę nieskazitelną męża prawego i szlachetnego...

Dwanaście lat przed rozpoczęciem tej powieści, sir William Mowbray, będący wówczas w samym kwiecie wieku, odniósł ranę, z jakiej umysł pospolity uleczyć się może, ale nigdy dusza zacna i tkliwa.

Żona jego, którą namiętnie kochał, porzuciła go, dając się uwieźć człowiekowi, którego sir William uważał za najlepszego przyjaciela, a jakby dla dopełnienia zniewagi, zabrała z sobą dziecię, które było jedynem owocem jej krótkiego pożycia małżeńskiego z sir Williamem, jedynym potomkiem i dziedzicem majątku rodziny Mowbray.

Ten postępek zdziwił niezmiernie wszystkich w arystokratycznych sferach, ponieważ kapitan Lucas, uwodziciel, nie wyrównywał wcale baronetowi ani pod względem przymiotów powierzchownych, któremi się zwykle podbija serce kobiety, ani też pod względem istotnych zalet i cnót mężkich, zapewniających trwałość takich podbojów. Pod pozorną ogładą towarzyską, ukrywał umysł samolubny i nikczemny, był graczem i człowiekiem zmysłowym w najpospolitszem znaczeniu tego wyrazu.

Skoro baronet ochłonął nieco z oburzenia, jakie nań wywarł ten cios okropny, udał się w pogoń za winnymi aż do Florencyi, a ztamtąd do Rzymu, gdzie jednak ślad ich zaginął. Przez całe dwa lata, jak duch pokutujący błąkał się po różnych krajach Europy, zgięty pod brzemieniem obelgi, która tak srodze go dotknęła; żałość za dziecięciem utrzymywała jedynie jego siły, ale wszystkie poszukiwania były daremne. Śladu wiarołomnego przyjaciela, zhań-

bionej małżonki, porwanego syna, nigdzie odszukać nie zdołał.

Strudzony próżnemi zabiegami, złamany boleścią, powrócił nareszcie sir William do ojczyzny, aby się zagrzebać w samotnym teraz zamku swych przodków. Przyjaciele i znajomi jego dziwili się niezmiernie, iż nie przedsiębrał żadnych kroków dla uzyskania rozwodu. Niejedni upatrywali w tem dowód słabości umysłu, w czem się jednak bardzo mylili; to postanowienie baroneta powzięte było na tej podstawie, że znał dostatecznie charakter swojej małżonki, dumny i tkliwy, i przewidywał, że nadejdzie chwila, kiedy jej występek stanie się zasłużoną dla niej karą.

— Ona nigdy nie zostanie żoną swojego uwodziciela, — mawiał sir William. — Niech żyje w poniżeniu i wzgardzie, zależna od jego dziwactw i zachceń. Gdy namiętność jego dla niej ochłonie, gdy się przesyci jej wdziękami, gdy pozna nieszczęsna, że jest tylko ciężarem dla swojego kochanka, gdy każda godzina jej życia stanie się dla niej wiekiem upokorzenia... wtedy będę pomszczony!

Przez przeciąg lat wielu, baronet ofiarował wielką nagrodę temu, ktoby mu udzielił jakiej wiadomości o zatraconem dziecięciu; ale wszystko to pozostało bezskutecznem. Przepaść nie zgruntowana zdawała się rozdzielać ojca od syna, zasłona nieprzedarta wisiała między obrażonym małżonkiem, a występną żoną...

Jedynym człowiekiem, co mógł mieć nadzieję korzyści z tego nieszczęsnego zdarzenia, był brat młodszy sir Williama, pułkownik Mowbray, mąż pełen przebiegłości i ambicyi, lubiący życie wystawne, który miał teraz prawo uważać się za przyszłego spadkobiercę baroneta.

Chociaż tak blizcy pokrewieństwem, dwaj bracia mało z sobą miewali stosunków i rzadko się widywali wzajemnie. Usposobienie ich i sposób życia, równie jak stanowisko, wcale nie były tego rodzaju, aby między nimi sympatyę utrzymać.

Prócz brata miał sir William jeszcze siostrę, którą serdecznie miłował, ale ta oddawna zamieszkiwała w Indyach Wschodnich, gdzie mąż jej jenerał Aubrey de Vere, ważne zajmował dowództwo. Pomimo tego przywiązania do siostry, sir William często przez całe tygodnie nie otwierał jej listów, które nierozpieczętowane leżały na stoliku, wśród stosu różnych korespondencyj i dzienników, i również wiele upłynęło czasu, nim baronet zebrał się na takowe odpisać.

———

Pewnego wieczora w sierpniu 1817 roku, sir William Mowbray zwyczajem swoim od dawna przyjętym, siedział w bibliotece zamkowej. Kilka portretów pędzla Van Dyka wisiało na ścianach, dębowemi taflami o pięknych rzeźbach wykładanych, które bogato przyozdabiały staroświecką komnatę. Powierzchowność baroneta odpowiednią była niejako starożytnym sprzętom, które go otaczały. Chociaż jeszcze w sile wieku, nosił w całej fizyognomii swojej piętno starości, którą nie długie lata, lecz smutne doświadczenia i troski skołatanego żywota skreśliły. W tej twarzy szlachetnej i pięknej jeszcze wyczytać można było wszystkie doznane cierpienia, które potrafiły przygnębić całą siłę moralną. Bujny włos kruczy przyprószyła gdzieniegdzie siwizna, a zmarszczki przedwczesne poorały czoło i lica. Ubiór zaniedbany świadczył, że baronet dawno zapomniał myśleć o swej powierzchowności, niegdyś wytwornej. Szczupła ta postać, otulona szeroką kapotą z wybladłej materyi, oparta w krześle o wysokich gotyckich poręczach, bogatą rzeźbą ozdobnych, podobną była raczej do którego ze starożytnych portretów, niż do istoty życie i czucie mającej.

Książka, którą przed chwilą czytał baronet: „Anatomia melancholii", przez Burtona, wypadła mu z ręki, ale widocznie nie uważał nawet tego. Bez wątpienia natrafić musiał na jakiś ustęp dzieła tego, który dotknął bolesnych strón jego serca. Zatopił wzrok w obraz, przedstawiający jednego z przodków rodziny swojej, ręki Holbeina, a rysy spokojne tego wizerunku, rażącą stanowiły sprzeczność z wyrazem wzruszonych namiętności, jakie się odbijały w twarzy nieszczęśliwego potomka Mowbray'ów.

Domyśleć się należało, że sir Mowbray miotany był niepokojem; może marzył o nieboszczykach, którym spoczynku zazdrościł; może też myślał o tych, co żyli, bo niekiedy zadrgały rysy twarzy jego, a wzrok ponury stawał się wymownym niemą boleścią.

Zapukano trzykrotnie do drzwi pokoju, ale baronet tak głęboko pogrążony był w zadumaniu, że tego nie słyszał.

W tem drzwi się zlekka otwarły i mistress Rebeka Jarmy, stara klucznica, czyli właściwie

ochmistrzyni domu, weszła do komnaty. Poczciwa ta kobieta urodziła się i wzrosła w tym zamku; jej nawyknienia, uczucia i powierzchowność, były niejako odbiciem staroświeckiego zamczyska i całego jej otoczenia. Postawa uroczysta i pełna powagi, wcale odmienną była od służalczej powierzchowności sług dzisiejszych. W młodości pełniła służbę pokojowej przy babce sir Williama, a po śmierci tej pierwszej pani swojej, otrzymała urząd zarządczyni domu, który aż dotąd pełniła. Wraz z sukniami, które jako spadek po swojej pani w udziale dostała, odziedziczyła poniekąd wszystką jej powagę w ruchach i obejściu swojem. Głęboki ukłon, który złożyła, wchodząc do sali, byłby może rozśmieszył dzisiaj modnego dorobkiewicza, jednak żadna dama z dworu Jerzego II pewnoby w tem nic śmiesznego, ani dziwacznego nie znajdowała.

Staruszka ubraną była według mody, panującej za czasów króla Jerzego II, kiedy żyła jej pierwsza pani, babka dzisiejszego baroneta. Miała na sobie suknię z ciężkiej lamy wzorzystej, z przodu otwartą, z pod której korzystnie wyglądała druga spodnica z jedwabnej piki. Włosy białe jak mleko, osłonięte były czepeczkiem z kosztownych koronek brabanckich, jakichby niejedna hrabina pozazdrościła, a rękawy i fartuszek były obszyte nie mniej drogiemi koronkami.

Za wejściem ochmistrzyni, wzdrygnął się baronet, jak człowiek nagle ze snu przykrego obudzony.

— Ah, to ty, Jarmy! Czym dzwonił?

— Nie, sir Williamie.

— Cóż cię więc sprowadza? — zapytał tonem, w którym się przebijała niechęć, że mu przerwano jego dumania.

— Zmuszoną jestem przeszkadzać panu, sir Williamie, — rzecze staruszka. — Istotnie jest coś nowego... ktoś przyjechał.

— Przyjechał, kto! — powtórzył baronet zdziwiony.

— Tak jest, sir Williamie.

Widocznie klucznica była w kłopocie i nie wiedziała, jak dalej mówić. Sir Mowbray uważniej na nią spoglądał i postrzegł dopiero teraz, że łzy miała w oczach, głos jej był drżący i cała postawa okazywała silne wzruszenie. Domyślił się tedy, że tylko jakieś ważne zdarzenie mogło do tego stopnia zmięszać spokojną zwykle i poważną staruszkę.

— Czyś pan miał w tych dniach listy od naszej kochanej młodej pani? — zapytała wreszcie.

Drżącą ręką przerzucił sir William spiesznie stos listów i dzienników, leżących przed nim na stoliku.

— Nie ma, — odpowiedział, — żadnego listu od niej... ale poczekaj, oto jest jakiś z Indyi... Ależ to nie jest pismo mojej siostry, — dodał, zbliżając pakiecik do światła lampy obok stojącej.

— Czy przypatrzyleś się pieczątce, sir Williamie? — zapytała sędziwa matrona głosem poufałego przywiązania, do jakiego ją wierne i długie lata służby słusznie upoważniały.

Baronet obrócił list i ujrzał dopiero, że był czarnym lakiem zapieczętowany.

— Odejdź, proszę cię, — rzekł zmienionym głosem, — wkrótce zadzwonię... teraz wolę sam zostać dla przeczytania tego pisma.

Poczciwa kobieta wyszła z pokoju; smutek i współczucie malowały się w jej obliczu; wiedziała, jaki cios bolesny dotknął baroneta, nieświadomego jeszcze tego nowego nieszczęścia.

Sir William zaledwie zdołał rozłamać żałobną pieczęć. List ten pochodził od pułkownika, jego szwagra w Indyach, i ze zwyczajną w kupieckim stylu zwięzłością, donosił o śmierci jenerała sir Aubrey de Vere i jego żony, którzy padli ofiarą zaraźliwej febry, zwykle grasującej na Wschodzie, oddając mu w opiekę swą córkę piętnastoletnią.

— Pomarli! — zawołał baronet, opuszczając z rąk pismo złowieszcze. — Ellena i mąż jej pomarli oboje, jedyne istoty, co mnie jeszcze kochały. Czemuż ja jeszcze żyję i cierpię!

Choć łzy nie uronił ani jednej, sir William uczuł głęboko tę stratę najdroższych mu w całym świecie osób. Gdyby potrafił zapłakać, doznałby może ulgi w tej niemej boleści, ale gorączka wysuszyła od dawna zdrój łez w jego oczach. Kilka razy przyciskał rękę do czoła, jak człowiek nagłym ciosem uderzony, następnie pochylił się na poręcz krzesła, wydając jęk długi i przytłumiony.

Gdy odzyskał przytomność, ujrzał u nóg swych klęczącą młodą, piękną dziewczynę, która ściskała jego kolana i z płaczem głośnym i rzewnym całowała mu ręce. Bujne sploty czarnych

jak heban włosów, białe jak marmur czoło, oczy zroszone łzami, — wszystko w tem ślicznem dziecięciu przywiodło mu na pamięć podobieństwo do rysów dawno widzianych, siostry ukochanej, którą mu śmierć dopiero co wydarła.

Ileż to pociechy i słodyczy mieści w sobie samo wspomnienie siostry! W miłości, bywa ona najpierwszą powiernicą rozkoszy i nadziei, uciech i smutków, marzeń i rozczarowań lat wiosennych, najmilszą towarzyszką zabaw i nauk naszych; w późniejszym wieku, jest niby zwierciadłem chwil upłynionych, przypomnieniem spędzonych dni w progach rodzicielskiego domu, a jeżeli umierając nie zostawiamy nikogo, coby nasz zgon opłakiwał, łzy siostry jak rosa błogosławieństwa na grób nasz wylane, zdają się słodzić jeszcze te chwile wiecznego osamotnienia.

— Wuju! drogi mój wuju! — przemówiła ze łkaniem młodziuchna sierota, podnosząc ku niemu zapłakane oczy, — czy pozwolisz, abym cię kochała? — czy nie odepchniesz mnie od siebie?

— Odepchnąć cię! — powtórzył baronet przyciskając ją z ojcowską tkliwością do piersi. — Biedna ptaszyno pozbawiona gniazda rodzicielskiego! Dokąd-że miałabyś się przytulić, gdzie żądać współczucia i opieki w twojem sieroctwie, jak nie przy mnie? Serce moje skołatane cierpieniem, droga moja Elleno, złość ludzka zatruła to serce, ale nie lękaj się, znajdzie się w nim jeszcze tyle miłości, aby ci zapewnić schronienie.

Młoda dziewica przytuliła głowę do piersi wuja, uczucia żałości i przywiązania opanowały jej serce; czuła, że znalazła istotę, która ją kocha, a łzy płynące już swobodniej, podobne były do kropelek rosy niebiańskiej, orzeźwiającej kwiatek, co już blizki był uwiędnięcia.

Gdy tak sir William przypatrywał się dziecięciu swej siostry, sierocie tak niespodzianie jego opiece powierzonej, zdawało mu się, że kamień przywalający źródło łez w sercu jego, dźwignięty ręką anioła pociechy, usunął się i rozpłakał się, mięszając łzy swoje ze łzami biednej sieroty.

— Dzięki ci, moje drogie dziecię, — rzekł wtedy głosem wzruszonym, całując w czoło młodą dziewczynę.

Zdziwiona spojrzała na niego.

— Dziękujesz mi, wuju kochany! za cóż to? — szeptała z cicha.

— Bo z twej przyczyny serce się moje zdołało rozczulić, a oczy znalazły łzy dawno zapomniane!...

II.

Zaledwie parę tygodni upłynęło od chwili przybycia Elleny de Vere do Carrow-Abbey, a już w zachowaniu i nawyknieniach sir Williama widoczna zmiana spostrzegać się dawała. Już nie zamykał się na całe dnie w swoim pokoju samotnie; siostrzenica podzielała jego towarzystwo; schodzili się razem do sali jadalnej w czasie obiadu i śniadania, co wielce cieszyło mistres Jarmy i wszystkich domowników, którzy nie tylko poważali, ale i uwielbiali swojego pana. Z rana, wchodząc do biblioteki, zastawał rodzinne dzienniki i listy poukładane w porządku na stole, a obfite bukiety świeżych kwiatów, wonią przyjemną napełniały komnatę. Z delikatnością i uwagą niezwykłą w tak młodziutkim wieku, mis Vere starała się w pierwszych dniach swego pobytu nie narzucać się wujowi zbyt często swojem towarzystwem, do którego zwolna zaczął się przyzwyczajać, aż następnie obecność jej coraz milszą mu się stawała.

Pewnego dnia, z wielkiem zdziwieniem całego domu, baronet wezwał Ellenę, by z nim czasem wychodziła na przechadzkę.

— Zdaje mi się, — rzekł piwniczy, Nicholls poufnie do mistress Jarmy, — że powrócą dawniejsze błogie czasy.

— Bez wątpienia odezwał się na to Dick Martin, masztalerz, starzec o wydatnych rysach twarzy, który był dawniej podstajennym za życia dziada sir Williama, i z czasem dostąpił tej niezbyt mozolnej funkcyi dojeżdżacza, czyli masztalerza. — Oto właśnie wczoraj sir Mowbray spotkawszy mnie w parku, zbliżył się i zapytał, czy są młode konie na stajni. Gdyby posąg starego sir Rowlanda, co stoi w sali wielkiej, zszedł był ze swego piedestalu i przemówił do mnie, nie byłoby mnie to bardziej zdziwiło.

— Młodych koni zażądal? — powtórzyło kilka sług chórem.

— Ale co jeszcze! — dodał staruszek, — prosił mnie baronet, abym jednego dla miss Vere ujeździł. Błogi to zaprawdę był dzień dla naszego pana i dla nas wszystkich, w którym ta młoda dziewica zawitała w progi starego zamku.

— Ona roztacza jasność, gdzie się tylko pokaże, — rzekła kobieta słusznego wzrostu o śniadej twarzy, której strój wschodni i kosztowne naramienniki złote, cechowały Indyankę. — W Indyach, ojczyźnie swojej, — dodała z dumą, — ona była światłem domu swojego ojca!

Osobą, co mówiła powyższe słowa, była ayah, czyli mamka Elleny, która z nią do Anglii przyjechała. W swem przywiązaniu do wychowanki, posuwała się aż do zazdrości względem każdego, kto się do mis Vere zbliżał. Rodzaj tajemnej wojny rozpoczął się już między piastunką a ochmistrzynią, zacną mistres Jarmy, bo każda z nich uważała to za wyłączny dla siebie przywilej, usługiwać młodej panience. Jarmy przytaczała na poparcie swych praw tę okoliczność, że to ona wychowała jej matkę i babkę, i wszystkie panie w rodzinie Mowbray'ów przez trzy pokolenia; Zarah, mamka, twierdziła natomiast, że jej młoda pani od urodzenia przywykła do jej usług.

Po upływie miesiąca, Dick Martin mniemał, że koń przeznaczony dla mis Elleny, dostatecznie już ujeżdżony, aby go bezpiecznie używać mogła do swych wycieczek; poczciwiec nie wiedział o tem, że w Indyach, chcąc używać świeżego powietrza, Ellena zwyczajnie jeździła powozem lub w lektyce, rzadko zaś konno.

— Cóż to za przepyszne zwierzę! — zawołała młoda panienka zachwycona, głaszcząc po lśniącej szyi klacz czystej krwi angielskiej, którą stary dojeżdżacz trzymał za uzdeczkę przed kolumnadą zamku. — Kochany wujaszku, — dodała zwracając się do baroneta z radośnym uśmiechem, — jakże ci podziękować za ten dar piękny?

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PODANIE O WĘŻACH I ŻMIJACH.

Z pomiędzy gadów, grają węże największą rolę w przesądach ludu, a liczne o nich powiastki krążą ciągle. W niektórych wsiach lwowskiego i brzeżańskiego obwodu mają dla węży niejakie uszanowanie, a dom ów zowią szczęśliwym, gdzie węże goszczą. Wąż w nich, według przesądu ludu, jest zadatkiem dobrego powodzenia, a zabicie jego grozi mordercy siedmioletniem nieszczęściem. Prawie w całej Polsce lud utrzymuje, jakoby miały węże krowy ssać, krowy znowu wskutek tego dawać więcej mleka, a za zabitym wężem z tęsknoty nędznieć, a w końcu ginąć. — Tu i ówdzie mają węże za pobratymców złych duchów i czarowników. Kto z wieśniaków przekonany o nieszkodliwości węża, umie go oswajać, zwie się u ludu „niesamowitym” tj. takim, który za pomocą sił nie własnych, ale pożyczonych od wyższych duchów, poskramia owe stworzenia, potęgą słowa zdoła je zmusić do posłuszeństwa. Niesamowity czyli zamawiacz, doznaje przeto czasem wyższego poważania, pochodzącego z bojaźliwości nieświadomych i uchodzi za wspólnika czarta, który umyślnie użycza mu tej mocy ku uszkodzeniu lub pomaganiu ludziom. Tu i owdzie opowiadają o takim zamawiaczu, że głosem piszczałki zwabiał do siebie węże, a ujrzawszy z nich jednego bełkotał doń coś niezrozumiałego, czyli że „on coś wie do nich.” Czasem jednak wieśniacy wzdrygają się przed człowiekiem, biorącym węża do rąk.

Bujna wyobraźnia naszego ludu wystawia sobie najstarszego z wężów króla gadów, a plamy po bokach głowy (u zaskrońca) położone, zamienia w żółtą koronę, świetniejącą najdroższymi kamieniami. Liczne też są bajki pomiędzy ludem o niejednym śmiałku, co kusząc się o zdobycie tej cennej korony, zawsze przy tem tracił życie. Do zaskrońców nadmiernej wielkości odnosi się mniemanie, że wąż niedostrzeżony przez siedm lat okiem ludzkiem, przemienia się w płaz długi, mający głowę wielkości dzbana. — Co do zapadania wężów w uśpienie zimowe, opowiadają, że na św. krzyż zbierają się węże z całej okolicy, pod przewodnictwem jednego na oznaczone miejsce, naradzając się gdzie mają zimować i że w tym dniu niebezpiecznie chodzić po lesie. — Inny zabobon jest, że jak wąż złapie żabę, trzeba na prędce wyłamać kij tarnowy i bić nim węża, aż żabę wypuści; kijem tym wetkanym na roli można odwrócić nadciągającą chmurę gradową albo ją sprowadzić na złego sąsiada. — Czarnoksiężnicy syberyjscy, Szamani nazwani, wyobrażają sobie jakieś bóstwo Emyger zwane, w postaci olbrzymiego węża, jako mieszkańca podziemnego, mającego władzę wielką nad zarazą, chorobą, a ztąd i śmiercią samą.

Jak do innych gadów i płazów, tak też i do żmii przywiązuje nasz lud różne przesądy. I tak jest ona w żywej wyobraźni ludowej uosobionym djabłem, który w chęci szkodzenia czycha skrycie na życie ludzkie. Gdzie żmij jest więcej i ludzi często kąsa, a umieją ją odróżnić od nieszkodliwego węża, tam doznaje nawzajem bezwzględnej zemsty. Wieśniak bowiem spotkawszy żmiję, nietylko że ją zabije, lecz zarazem zakopuje do ziemi, aby słońce na nią nie patrzało i wskutek tego nie zachodziło krwawo. Żmija bowiem patrząc na słońce, ściąga jego siłę, co w wyobraźni ludu ciemnego, dla słońca jest bardzo szkodliwem, ponieważby świecić przestało. Ponieważ jad żmii, zdaniem ludu, długo własność swoję zachowuje, więc ugryzionego obuwia lub odzienia obawia się używać, a strzelcy mniemają, że strzelba nabita żmiją (równie jak padalcem) i wystrzelona stale się zaprawia, rzadko kiedy chybi (rozumie się w ręku celnego strzelca a nie partacza), a zwierzęta nią postrzelone, mają niby puchnąć i ginąć.